

nosił wysoko a laską machał z poczuciem wewnętrznej siły i pewną miną dowódcy; stał przytem z godnością i był w średnim wieku — naturalnie musiał być przedtem sierżantem.

— Wspaniale — zawołałem.

— Ależ to codzienne zjawisko — odparł mi Holmes — poznałem jednak po jego zadowolonym obliczu, że pochlebstwo sprawia mu wielką przyjemność. Przypuszczałem przed chwilą, że niema tajemniczych morderstw na świecie, których nie możnaby odkryć na pierwszy rzut oka. Pomyliłem się jednak — wnioskuje to po tym oto liście.

Podsunął mi list, przyniesiony właśnie.

— To straszne — zawołałem, przebiegając go oczyma.

— Brzmi w każdym razie trochę niezwykle; czy może przeczytać pan ten list jeszcze raz na głos?

Uczyniłem zadość jego życzeniu. List był tej treści:

„Kochany panie Holmesie!

Dziś w nocy zaszło coś niezwykle na ulicy Brikston pod 3 numerem. Stójkowy nasz zauważył tam podczas swojej służby płomień płonącej świecy, a ponieważ dom był pusty zupełnie, zaczął coś podejrzawać. Drzwi były otwarte a w nieumeblowanym przedpokoju znalazł zwłoki jakiegoś eleganckiego pana na ziemi. Euoch J. Drebbler Cleveland, Ohio M. S. A. było na karcie wizytowej, którą miał przy sobie w kieszeni. Rabunek nie zachodzi; przyczyny śmierci nie skonstatowano jeszcze dotychczas, gdyż znajdują się wprawdzie ślady krwi w pokoju, na zmarłym nie widać jednak ran żadnych. Niejasnem mi jest, jak mógł on zająć do tego opustoszałego mieszkania a cała ta sprawa jest jedną tajemniczą zagadką.

Jeśli zamierza Pan widzieć miejsce wypadku przed godziną 12, spotkamy się tam razem. Pozostawiam wszystko „in statu quo“ aż do pańskiego przybycia. W razie, gdyby Pan nie mógł się zjawić, opowiem Panu najdokładniej najdrobniejsze szczegóły. Uczyni mi Pan wielką przysługę, jeśli się dowiem o Pańskim zdaniu w tej sprawie.

Z poważaniem

Tobiasz Gregson

— Gregson jest najzdolniejszym agentem z całej załogi policyjnej — objaśniał mój przyjaciel — on i Lestrade posiadają szybką i niezmordowaną energię, ale za nic w świecie nie pozwolą się sprowadzić z raz obranej drogi; przytem ogromnie zazdrośni, jak dwie piękności balowe. Gdy razem wpadną na jeden ślad, to jest szopka dopiero.

Ciekawy spokój, z jakim wymawiał te słowa, wydał mi się nieco dziwnym.

— Ależ tu niema chwili czasu do stracenia — zawołałem z pośpiechem — czy mam panu kazać sprowadzić dorożkę?

— Nie wiem nic jeszcze, czy pójdę tam. Do stałem właśnie napadu lenistwa i jestem dzisiaj najbardziej opieszalym człowiekiem pod słońcem; innym razem znowu nie zbywa mi na energii.

— Ależ to właśnie sprawa, jakiej pan sobie życzyłeś.

— Tak jest; lecz cóż mi z tego wszystkiego, drogi przyjacielu? Nawet gdyby mi się udało rozwiązać tę zawiłą zagadkę, zasługa przypadnie Gregsonowi, Lestradowi i Spółce. Taka jest właśnie przyjemność, gdy się niema stałej posady.

— Jeśli prosi pana o pomoc!

— Tak, on wie dobrze, że znam się więcej na tych sprawach niż on, w stosunku ze mną nie kryje się z tem wcale. Pozwoliłby sobie jednak raczej język uciąć, nimby się przyznał przed kimś trzecim do swojej niższości. Lecz przypatrzmy się tymczasem tej sprawie. Biorę ją na własną odpo-

wiedzialność. Wyśmieję potem ich obu, choć nie więcej nie przyjdzie mi z tego. Naprzód więc!

Szybko ubrał się w swoją zarzutkę i poczał gonić po pokoju z takim pośpiechem, iż natychmiast poznałem, że przeminęło usposobienie obojętne, a dawna energia powróciła w zupełności.

— Gdzie pański kapelusz? — zapytał.

— Czy życzy pan sobie, abym panu towarzyszył — spytałem.

— Jeśli niema pan nic lepszego do roboty!

W parę sekund siedzieliśmy w dorożce, gnając z szybkością błyskawicy w stronę ulicy Brikston.

Dzień był dżdżysty, pochmurny, domy tego samego koloru co brudne ulice, leżały otulone nieprzyjemną mgłą. Humor mego towarzysza nie pozostawiał nic do życzenia. Mówił z ogromną biegłością o skrzypcach kremonskich, i różnicy, jaka zachodzi między skrzypcami Amatiego a Stradivariusa. Zachowywałem się dosyć spokojnie. Niepogoda i nieprzyjemne zajęcie, jakie mieliśmy przed sobą, leżały mi na sercu kamieniem.

— Zdaje się, że myśli pańskie nie zajmują się

zółtą gliną, miękką zupełnie wskutek nieustannych deszczów, które lały bez przerwy kilka nocy poprzednich. Ogrodzenie ogrodu stanowił parkan z drzewa na trzy stopy wysoki. Przy bramie parkanu stał zbrojny policyant, otoczony gromadą ciekawych, usiłujących nadaremnie zajrzeć do wnętrza tajemniczego domu.

Spodziewałem się, że Sherlock Holmes wejdzie natychmiast, aby podjąć badania. Lecz on nie pomyślał o tem nawet. Z niezwykłą opieszałością i powolnością, która w podobnych okolicznościach wydała mi się conajmniej nienaturalną, włókł się od domu do domu, utkwivszy wzrok już to w ziemię, już to na parkan lub przeciwległe domy. Po chwili wstąpił na ścieżkę, prowadzącą przez ogród, to znaczy, szedł po trawie obok tej ścieżki, spuściwszy badawczy wzrok na ziemię. Dwa razy stanął a okrzyk zadowolenia wyrwał się z jego piersi. Było wprawdzie wiele śladów od nóg ludzkich w mokrej glinie, mogły one pochodzić jednak równie dobrze od nóg policyantów, ustawicznie tędy przechodzących. Jak mógł spodziewać się mój to-

warzysz, aby można było odkryć jeszcze coś ważniejszego, nie mogłem pojąć. Sądząc jednak po próbach jego daru obserwacyjnego w mieszkaniu, musiałem na pewne przypuszczać, że widział bez kwestyi wiele rzeczy, dla mnie zupełnie niewidocznych. Przy bramie spotkaliśmy wysokiego, blade go mężczyznę z jakimś dużym notatnikiem w ręku. Przystąpił szybko do Holmesa i uściśnął mu dłoń z niezwykłą serdecznością.

— Bardzo mi przyjemnie, że pana spotykam — powiedział — wszystko pozostawiłem nietknięte.

— Tylko nie ścieżkę — odparł mój przyjaciel — gdyby przebiegło przez nią całe stado bawołów, z pewnością nie zrujnowałoby jej do tego stopnia. Naturalnie podjąłeś pan przedtem najściślejsze badania, Gregsonie, zanim zezwoliłeś na to.

— W środku w mieszkaniu byłem ogromnie zajęty — odparł wymijająco detektyw — mój kolega Lestrade jest także tutaj; — sądziłem, że pomyśli o tem. Holmes ściągnął szyderczo brwi swoje i spojrzał na mnie:

— Gdzie pracuje dwóch takich jak Gregson i Lestrade — zauważył — niema trzeci nic do roboty.

Gregson zacierał z zadowolenia ręce.

— Zrobiliśmy, co było w naszej mocy; ale to niezwykle wypadek — znam pańskie zamiłowanie do czegoś podobnego.

— Czy przyjechał pan tutaj dorożką?

— Nie!

— A Lestrade?

— I on przyszedł także piechotą.

— Tak? No to możeby w takim razie oglądnął pokój?

W jakim związku pozostawało to wszystko, było mi nie bardzo jasne; Gregson też wyglądał ogromnie zdziwiony, gdy szedł za Holmessem do domu.

Pełen kurzu korytarz prowadził do kuchni i spiżarni; na prawo i lewo widniało jeszcze dwoje drzwi. Jednych z nich nie otwierano zapewne parę tygodni, drugie wiodły do pokoju, gdzie popełniono tajemnicze morderstwo.

Holmes wszedł pierwszy a ja postępowałem za nim, opadnięty najrozmaitszego rodzaju uczuciami, jak się to zwykle dzieje, gdy człowiek znajdzie się w obliczu śmierci.

Wielki, czworokątny pokój wyglądał jeszcze obszerniejszy, gdyż mebli w nim nie było. Jaskrawa tapeta była powleczonea częściami pajęczyną, miejscami zwisały strzępy, tak, że widać było mur goły. Na wprost drzwi znajdował się wielki, otwarty piec z gzemsem, na którym spostrzegłszy ułomek czerwonej świecy. Jedyne okno, przez które wpadały promienie słoneczne, zapyłone było do niemożliwości. Poure, szare oświetlenie harmonizowało doskonale z grubą warstwą kurzu, leżącą na podłodze.

Początkowo skierowałem całą swoją uwagę na martwą postać, rozciągniętą na ziemi, która patrzyła błędnie na sufit.

C. d. n.



...skierowałem całą swoją uwagę na martwą postać, rozciągniętą na ziemi, która patrzyła błędnie na sufit.

zupełnie sprawą, o którą chodzi — przerwałem Holmesowi w jego muzycznych wynurzeniach.

— Brakuje mi jeszcze szczegółów — odparł mi na to — a jest to wielkim błędem budować teorię, jeśli się niema w ręku całego materiału dowodowego. To wpływa na wyrok!

— Wkrótce nasunie się panu sposobność poczynienia ważnych spostrzeżeń — powiedziałem — oto już Brikston Street, a oto i ten dom, jeśli się nie myle.

— Bez kwestyi! Stój!

Brakowało nam właściwie do przeznaczonego miejsca parę kroków, on jednak uparł się, by wysiąść i przebyć ten mały kawałek pieszko.

Kamienica pod nr. 3 robiła niemiłe, jakieś tajemnicze wrażenie. Należała do grupy złożonej z 4 budynków, które leżały nieco z boku od ulicy. Dwa były zamieszkane, reszta stała próżna. Na ponurych szybach w oknach padały w oczy nalepione kartki, na których widniało ogłoszenie: „Do wynajęcia“. Każdy dom posiadał mały ogródek na przedzie, o kilku chorowitych roślinach. Przez środek ogrodu prowadziła wąska ścieżka, wysypana